

# TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich

wydawane przez

**młodzież akademicką.**

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

---

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!  
*Adam Mickiewicz*: «Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego».

---

## Gimnazjum polskie w Cieszynie\*).

Nie trzeba posiadać obszernej i głębokiej znajomości naszych dziejów ani być wytrawnym znawcą dzisiejszych stosunków i potrzeb naszego społeczeństwa, aby przyjść do przekonania, że „historia magistra vitae“ nie jest i nie była nigdy nam mistrzynią.

Ani stuletni okres niewoli i długi szereg bolesnych i drogo okupionych doświadczeń, ani gorącą miłością Ojczyzny i troską o jej przyszłość natchnione głosy swoich a surowe, nieraz bardzo nas upokarzające chociaż sprawiedliwe sądy obcych, ani wreszcie naśladowania godny przykład ościennych narodów, które w krwawym trudzie i o własnych siłach dźwigały się i dobijały w świecie znaczenia, nie zdołały uleczyć nas od złudzeń, ani wykorzenić z nas wad i błędów za które sto lat temu tak bezprzykładnie drogo przyszło nam zapłacić i tak strasznie ciężko je odpokutować.

Dokoła nas dokonywały się doniosłe zmiany i przeobrażenia; rośli i potężnieli nasi wrogowie i nasi sąsiedzi wówczas, gdy my wiedliśmy życie bez jutra i bez rachunku, oparte najczęściej na niczem nie uzasadnionych nadziejach, na starej nieszczęśliwej formułce „jakoś to będzie“.

Przed naszymi oczyma przesuwają się niewstrzymanym pędem wypadki, zmieniały się formy i warunki naszego narodowego życia, mnożyły się zadania i cele, które trzeba było

\*) Zob. Nr. VII.

podejmować i urzeczywistniać; a my staliśmy upornie na miejscu, lub przystępując do rozwiązania tych zadań i celów, czyniliśmy to zazwyczaj zapóźno, bo wówczas dopiero, gdy u innych należały już one do przeszłości.

To też twarda nieubłagana rzeczywistość smagała nas za to i smaga dotąd bezlitośnie, wykazując tysiącami przykładów, że tylko zdrowi i silni mają prawo do życia — a chorzy nieuleczalnie lub... niepoprawni nie mają przed sobą przyszłości.

Myśmy nie chorzy ale niepoprawni.

Zaczetą przed stu laty walkę o wolność i dążenie do niepodległości pokolenie od pokolenia brało w spadku jako najświętszy obowiązek najdroższą spuściznę po ojcach. Ale równocześnie pokolenie pokoleniu przekazywało cały legion tradycyjnych dziedzicznych wad i błędów, które weszły w krew i kości narodu i stały się jego drugą naturą i jego klątwą zarazem, niwecząc najlepsze usiłowania, paraliżując najszlachetniejsze porywy — zmieniając każdą pracę w niewdzięczną beznajdziejną pracę Syzyfa.

Dwieście lat temu „staliśmy i upadliśmy nierządem“, a czem stoimy dzisiaj? Czem jest cały ten nasz dorobek którym tak często lubimy się przechwalać — w stosunku do postępu, jaki zaznaczył się równocześnie u innych narodów, i o ile zbliżyliśmy się do celu, nad którego spełnieniem czwarte już z rzędu pokolenie rozpoczyna pracować?

Wobec tysiącznych doniosłych zadań i potrzeb chwili dzisiejszej stoimy niezaradni, niezorganizowani, rozdarci podziałami i własną niezgodną; politycznie niewyrobieni, słabi ekonomicznie i jako jednostki i jako społeczeństwo, z niepokojem i trwogą patrzymy w przyszłość, i złorzeczymy losowi, obwiniając wszystkich i wszystko prócz siebie, nie pomni, że główne źródło naszej słabości i najważniejsze przyczyny naszych niepowodzeń — leżą nie poza nami, ale w nas samych.

W długim szeregu naszych „narodowych grzechów“ dwa są kardynalne, które mściły się zawsze na nas najbardziej i najbardziej zaciężyły na wszystkich polach naszego narodowego życia i obywatelskiej publicznej pracy. Pierwszym z nich to lekkomyślność a raczej lenistwo nasze, objawiające się na zewnątrz w nieprzeliczonych formach, jak dorywczość, powierzchowność i brak wytrwałości w pracy, apatya i abderytyzm w sprawach publicznych, fałszywa ambicya i życie nad stan w stosunkach prywatnych i t. d.; drugim, to nasz wybujały indywidualizm

lizm, który sprawia, że zdolni do szlachetnych i wzniosłych porywów, nie znosimy jarzma szarych, codziennych obowiązków, że lekceważymy sobie obce przekonanie i obce sądy jeżeli nie są zgodne z naszymi, że wolimy chodzić luzem i w pojedynkę, aniżeli działać w zwartym szeregu, że zamiast wydawać ze siebie dzielnych i sprawie publicznej oddanych obywateli, którzyby mogli stworzyć silną a karną armię narodową, produkujemy tylko nadmierną ilość owych „geniuszów bez teki“ z których każdy (we własnem przekonaniu) zdolny jest „wznosić i obalać trony“. kierować państwem lub armią, a w rzeczywistości nie zdolny jest do żadnej pozytywnej pracy i „zwyczajnego kołka w polskim płocie porządnie zabić nie potrafi“.

Powiedzieliśmy wyżej, że te dwie kardynalne wady nasze: lekkomyślność i wybujały indywidualizm ze wszystkich innych najbardziej dały się nam we znaki.

Wymownym choć smutnym a niestety i nie odosobnionym na to przykładem są dzieje prywatnego polskiego gimnazjum w Cieszynie.

\* \* \*

Zaznaczyliśmy, że założenie gimnazjum w Cieszynie było sprawą ogólnopolską, ogólnonarodową, jakkolwiek w pierwszym rzędzie bezpośrednio dotyczyło interesów jednej tylko polskiej dzielnicy — Śląska

Zobaczmyż teraz, jak ogół polski zachował się wobec tej doniosłej „ogólnonarodowej“ sprawy, jak spełnił swój względem niej obowiązek „wynikający już nie z samego sąsiedztwa, nie z solidarności jednego opola: ale z miłości całej ojczyzny i narodu całego“<sup>1)</sup>).

Pierwsze ofiary jakie złożono na rzecz cieszyńskiego gimnazjum, to były wdowie, w pocie czoła krwawo zapracowane grosze śląskiego ludu, który nie mając w kraju ani jednej szkoły średniej dla dwudziestu pięciu tysięcy swoich dzieci potrzebujących światła nauki w ojczystym udzielanej języku, z mrówczą skrzętnością i podziwienia godną ofiarnością począł znosić cegiełki pod budowę gmachu, który miał się stać warownią narodowego ducha na śląskiej ziemi.

Naprawdę! Gdy się tak weźmie do rąk którekolwiek ze śląskich pisemek ludowych, gdy się przeczyta nieprzejrzany sze-

<sup>1)</sup> Karol Rawer: »Laska opolna«. W książce zbiorowej na rzecz gimn. pol. w Cieszynie. Lwów 1895.

reg nazwisk, tych śląskich Chlebków, Kolaczków, Kopelów, Nowaków, Janików, Macurów, Mrozków, Kisiałów, Kielochów, Dudów, Wawrzyków... lecz kto tam potrafi wymienić wszystkie nazwiska tych przeznaczonych ofiarodawców i „fundatorów“ gimnazjum cieszyńskiego — gdy się rzuci okiem na te długie kolumny drobnych groszowych datków, składanych przez biednych rolników, „chałupników“ „zagrodników“ — ba nawet bezrolnych i bezdomnych najmitów i robotników fabrycznych, a dodać trzeba składanych z własnego popędu, przy sposobności obchodów narodowych, uroczystości rodzinnych, zawodowych zgromadzeń i zabaw świątecznych, to mimowoli łąz wzruszenia zapływa oko, a w serce wstępuje dziwnie błoga i dziwnie krzepiąca otucha... że nas nie zmogą ani pruskie miliony, ani rusyfikacyjne systemy, ani podstępna, szalbiercza polityka „usypiania“, jak długo spracowana a ofiarna dłoń polskiego ludu czuwać będzie nad naszą przyszłością.

Druga po Ślązku odezwała się spowita łańcuchami, męczeńska stolica Polski — Warszawa. Ona, która ze wszystkich zabranych dzielnic najcięższy opłaca podatek, zapełniając rokrocznie mury cytadel ciałami najlepszych swoich synów, ona pierwsza odczuła i zrozumiała doniosłość sprawy i hojnie, po królewsku sypnęła groszem kładąc główne podstawy do utworzenia owego stu-tysięcznego funduszu istniejącego jeszcze do niedawna, o którym my Galicyanie z taką lubością zwykliśmy się byli wyrażać, żeśmy go „złożyli“ na gimnazjum cieszyńskie.

Słabo płynęły datki z Wielkopolski. Dziwić się temu jednak nie można, jeśli się zważy, jak trudne są warunki wśród których żyją i działać muszą rodacy nasi w Poznańskim.

A Galicya?

Dla Galicyi założenie polskiego gimnazjum w Cieszynie było nie tylko wyrazem ogólno-narodowej samopomocy, ale i znakomitym środkiem samoobrony, „Galicya powinna była zrozumieć — (to są słowa jednego z pierwszych a nieustraszonych szermierzy sprawy polskiej na Ślązku — Pawła Stalmacha<sup>2)</sup>), że dopomagając nam (Ślązkowi) sobie dopomaga... My jesteśmy

---

<sup>2)</sup> Paweł Stalmach, twórca i długoletni prezes „Macierzy Polskiej dla Księstwa cieszyńskiego“, jeden z inicjatorów i założycieli gimnazjum, założyciel i redaktor „Gwiazdki cieszyńskiej“, jeden z nazasłużeńszych pracowników na niwie uświadczenia śląskiego ludu i bojowników o jego prawa i jeden z najlepszych synów Ojczyzny. Urodz. w r. 1824. zmarł w Cieszynie w listopadzie 1891 r.

jedynym, ostatnim dla niej szańcem, zasłaniającym od zalewu germanizmu.

Już i dziś grobla z nas słaba, obcy żywioł bryzga wciąż przez ów niby wał ochronny... Już i dziś Żywiec, Andrychów, Wadowice, nie mówiąc o Białej, germanizują się szybko, rozlewa się obcy pierwiastek na wschód, grunt usuwa się stopniowo z pod nóg, dostanie się i Krakowowi to, co nam teraz dolega... Nie mówiąc o innych względach, lecz interes osobisty powinien obudzić Galicyę z apatyj; zdawało by się, iż bodaj dla interesu osobistego powinna podać nam rękę pomocy... My, po latach niewielu, bez wyższej polskiej szkoły zginiemy, a wówczas germanizm bezpośrednio oddziaływać zacznie na nich.. Tymczasem jak dotąd, pomoc z Galicyi, tak jak żadna<sup>3)</sup>.

Galicya zawiodła pokładane, w niej nadzieje i zaufanie Ślązaków. Kraina apatyj i „krachów“ — ojczyzna „geniuszów bez teki“ pozostała głuchą na serdeczne prośby o pomoc, na gorące ieuustanne nawoływania prasy, a to co złożyła na ołtarzu, ofiary było tylko nieznaczną częstką tego co dać mogła, i co dać była powinna.

D. c. n.

---

## MYSŁI Z DZIEŁ MICKIEWICZA.

---

— „Nie mamy prawa być szczęśliwsi od całego naszego narodu“

— „Słowo krótkie, czyn rozległy“ —

— „Życie nie jest sztuką ani rzemiosłem, o których tylko starzy i doświadczeni radzić mogą. Tu im kto lepszy, tem mędrszy.“ —

— „Co to jest człowiek zasługi?... To jest człowiek, co przecierpiał wiele.“

— „Nie słyszałem, żeby naród jaki rozprawami i notami dyplomatycznemi wskrzeszono.“

— „Trzeba wiary. Nie wierząc w lepszą przyszłość, trudno coś przedsięwziąć, jeszcze trudniej wykonać.“

— „Historya wlała się w duszę Polakom. Oni się jej nie uczą, Oni ją czują.“

---

<sup>3)</sup> Maryan Dubiecki: Ze wspomnień o Pawle Stalmachu. Lwów. 1895. *ibid.*

— „Artykuły praw przyszłości są nie w kartach, ale w sercach narodu i w potrzebach czasu.“

— „Praca jest nasze bóstwo, a braterstwo godło.“

— „Jedyny cel człowieka i narodów jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej na świecie.“

zebrała *M. Konopnicka*

## W pasie granicznym.

Partya miała wyruszyć przed północą. Noc zapowiadała się dobrze. Chmury nadciągały w gęstym szeregu, zalewały niebo szeroką falą, kłębiły się, przewalały w potężnych splotach, rwały na szmaty. Szły cicho, jak szyki bojowe do walki, groźne, straszne — potęgą i milczeniem. Ostatnie błyski słońca wybiegały z pod ciemnej opony, spływały strzelistym wachlarzem ustępującego światła ku ziemi. Wiatr zrywał się z chwilowego uspienia, bił w chmur kopułę — zachwiał jej więzadła i opadł bezsilny, by nową mocą zaczerpnąć i znowu lecieć z bojowym szumem ku niebu. Las, skąpany mglistym fioletem, ugiął się pod wściekłym atakiem wiatru; otworzył mu swe ciemne łono. Konary jęły, strzęsły kiściaste czuby. Wiatr przeleciał — i znowu cisza. Tylko gwar liści szedł na łąki, na rzeczkę, czarną, milczącą.

Noc będzie dobra. Łońskiego roku w taką samą wichurę, szła cała partya wychodźców przez granicę; wszyscy przeszli szczęśliwie. Wiatr-wisielec szalał jak wściekły. Potoki deszczu smagały strugami, zalewały oczy: emigrantom... ale i strażnikom. Pukali trochę po lesie, kule gwizdały z wichurą w zawody — szły w pnie i gałęzie, pluskały, jak rybki po rzeczce, ale człowieka mijały.

I przeszli szczęśliwie — dziś daleko, hen za morzem lepiej im. Podatki nie gniotą, panów „komisarzów“ nie ma — a dolary płyną. Hej! żeby tylko ta tęsknota za swoimi, za lasem i łanem duszy nie żarła, wszystkoby dobrze było...

Wiedział o tem Walek. Chodził do panienki we dworze na naukę; toć i czytać umiał, a listy z Ameryki to całą duszą pochłaniał. Co za świat! Co za cuda! Ludziska, co to wróca, opowiadają, a bają, że im się gęba nie zamknie. „Sirkartę“

masz, pięć całych palców i chęć do pracy, a Boga w duszy — to nie zginiessz — świat zobaczysz, o jakim ci się chyba w nockę świętojańską śniło: miasta wielkie, większe od Kalisza, gdzie człek jak mrówka w kopcu; większe nawet od Warszawy, gdzie to idziesz i idziesz, a wyjść nijak. — Tak myślał Walek, bo to i on miał iść z partyą. Szedł przez łąkę nieskoszoną, kaszkiet zasadził z fantazyą na płową czuprunę. Biczyskiem smagał kiście traw, które plątały mu nogi. Szedł zamyślony. Od czasu do czasu rzucił niespokojny wzrok na niebo — uśmiechnął się z zadowoleniem — chmury szły. Choć się Walkowi oczy śmiały do niebezpiecznej wyprawy, myśl jakaś ciężka tłoczyła serce. Spojrzał na las, gdzie krowy chłopakiem pasał, na wierzby nad rzeczką, gdzie konie plawił, a na fujarce wyciągał wysoko, wysoko! — Et! co tam! Zachnął się, machnął ręką, śmignął biczyskiem — dwa czuby spadły z tataraku. Co mu tam! — On idzie do Ameryki, za morze, po szczęście, po dolary. Co mu tam łąny, las, rzeczka, a choćby fujarka. Do wojska wezmą na całe cztery lata; popędzą, jak bydłę na kraj świata. Bić będą, kłać. Zapomnie człowiek, że stworzon na podobieństwo Boże, że mówił, jak ojcowie. A może... trzy razy żegnać się każą, — Ho, ho! On nie głupi. Nie tak to łatwo z Walka zrobić sołdata. On pójdzie stąd, ucieknie im. W wojsku służyć nie będzie! nie! W Ameryce będzie pan. Kupi sobie nowy kaszkiet i „spencer“ nowy i piwa się napije i w niedzielę pohula polskiego — albo obertasa! Hu! Ha! Obertasa z Maryną, co pewnie już zapomniała biednego Walka. W kapeluszu pewnikiem chodzi, na fabryce dwa dolary dziennie bierze, a tu to do świń — się go-dziła.

... I szedł Walek powoli i roił sobie, jak w bajce. Nogi plątały się w trawie, pot kroplami spływał z czoła, bo parno było w powietrzu. Myśl jego bujała wysoko, wysoko, jak te czarne obłoki nad głową. Ręka machała machinalnie biczyskiem; strącała bez litości, bez celu puszyste główki mleczu, który z ran świeżych toczył krew białą, lepką. Walek myślał. Oko błędne skierował na rzeczkę, na tataraki zielone, na wodne lilie, złociste, na łąn owsa, który stał sztywny, nieruchomy, bez życia. I zdało się chłopcu, że się tatarak splątał z owsem i świecił po przez szklistą fałę, przetykaną liliami. Nogi mu drżały, wrywał je z wysiłkiem z trawiastych splotów. Owies zaczął falować wśród rzeczki. Lilie czepiały się żółtych wąsów. Tatarak płynął z prądem — jeden badyl za drugim, a u ka-

żdego wisiał wielki, rozżarzony dolar — świecił, jak słońce. Uśmiechnięta twarz Maryny, w czerwonym kapeluszu, zerkiała miłośnie na Walka; w uszach grały mu skrzypki — cała kapela. Hu! ha! Bat rozigrany w ręku chłopaka, zawinął wierzbę, zakręcił się, ściągnął. Walka zerwało. Ocknął się. Spojrzał na niebo, otarł pot rękawem koszuli, ściągnął biczysko. Rzemyk zatoczył koło, raz, drugi i plusnął po wodzie.

Oczereoty stały zuowu nieme, lilie kołysały się lekko wśród wodnej zieleni — owies za rzeczka. Ani Maryny, ani muzyki. Nic... Tylko czarne chmury ciągnęły z dali. Bór zaczął szumieć tęsknie — na pożegnanie. Mrok spływał jak sen; przycisnął ciemną powieką różowy skrawek nieba. Pod lasem błysnęło światółko. Walek zasunął czapkę na oczy, bicz zwinął i ruszył na przelaj przez pole, zapatrzone w migotliwy ognik. Dziś w karczmie zbiera się partya. Szmul gościnnie daje dziś wódkę na krydę. Zepłacą, jak się dorobią — dolarami.

Walek zbliżał się szybko do karczmy. Otworzył drzwi i spojrzał. Za długim stołem siedziało pod ścianą kilkunastu chłopów, w niebieskich sukmanach, w białych koszulach, na kolana spuszczonech. Na stole stały kieliszki i półkwatki. Pili na zabój. Gwaro było, ale nie wesoło. Stary Józef grał na harmonii — nie szło mu jakoś. Chrapliwe, urywane dźwięki rwały się ciągle, choć Józef kwaterek po kwatlerce kropił. Miech na kolanie wsparł i ciągnął niemilosierdzie. Za szynkwasem, Szmul rozlewał „harak“, piołunówkę i piwo. He! Co tam: Zalać ostatniego robaka. Jutro — inny świat, inne życie! Byle, przez tę dyabłą granicę. Objeszczyków jak psów. Co sto kroków stoi bestya z karabinem, a węży, jak wyżeł. Okowitę to ci na wiorstę poczuje, choćbyś i w pęcherzu przemycał.

(Dokończenie nastąpi).

---

## Z cyklu Gis-moll.

---

### CYTRA.

*Cytra gdzieś brzęczy... Łagodny i cichy  
Dźwięk się dobywa z pod palców artysty...  
Lilij na klombach posnęły kielichy,  
Księżyc na niebo wypłynął srebrzysty...*



*Cytra gdzieś brzęczy, jak harfa Eola...  
Dźwięk się od ziemi podnosi skrzydlaty...  
W parku szeleszcze listkami topola,  
Z nieba na senne rosa pada kwiaty...*

*Dźwięk płynie cytry łagodnie i słodko  
I zaświatową brzmi w duszy tęsknotą...  
Ktoś postać tuli w ramionach swych wiotką,  
Usta się do ust schylają z przeszczołą...*

*Cytra gdzieś dźwięczy i brzmi coraz słodziej  
I po kwitującym rozplywa się sadzie...  
Twoje pod oknem mem widmo przechodzi,  
Miesiąc swe srebro pod stopy mu kładzie...*

*Zdzisław Dębicki.*

---

## Przeciw marnowaniu sił.

Kiedy nieprzyjaciel oguiem i mieczem szedł pustoszyć polskie miasta i włości, siadał, kto mężne miał serce na koń, by własną piersią zasłonić ojczyznę a i później jeszcze po upadku Polski były chwile słoneczne, w których z bronią w rękę można było walczyć za najświętszą sprawę. Dziś nie granic państwa, ani nawet wioski, dziś bronić musimy naszych ognisk domowych, naszych uczuć — ideałów — o każdego ducha polskiego staczać śmiertelną walkę z obcym i domowym wrogiem, aby go nam nie wydarło, aby go nie skażono zwątpieniem, egoizmem, nie dano na łup ciemnocie i obojętności. Na każde zaniedbane stanowisko wdziera się nieprzyjaciel, jak ów straszny polip morski zapuszcza swe macki w poraniony organizm narodu i ssie krew, mózg — życie!

Dlatego zaniedbać nam się nie wolno. Nie wolno opuścić posterunku i w bezczynności gnuśnieć nie wolno! Wszystko co stoi na drodze w pracy nad odrodzeniem narodu trzeba usunąć, a jeśli to jest wada naszego charakteru, choroba osłabiająca organizm społeczny, to ją wyrzucić z korzeniem, choćby to bolało z początku.

Dlatego też bacznie śledzić należy wszystkie inne objawy naszego życia prywatnego i publicznego i póki czas, póki złe-

nie objęło całego narodu, usunąć jego przyczynę. To najwznieślijsze na dzisiaj zadanie publicystyki naszej. Na nic się bowiem nie przydadzą wysiłki na wszystkich polach działalności ludzkiej, jeśli ich rezultaty, czy to krwawo zapracowany grosz, czy dobrą sławę narodu, zyskaną i utrzymywaną z takim trudem zmarnuje jedno i zgangrenowane pokolenie. A zaraza społeczna szerzy się w zastraszający sposób. Jeśli dłużej zwlekać będziemy z naprawą obyczajów, to zniszczą nas nie komisya kolonizacyjna, nie wyjątkowe ustawy, lub zsyłka w drodze administracyjnej lecz marnotrawstwo, lekkomyślność, rozpusta, pijanństwo, zniszczy nas karcjarstwo.

Przeciwko tej ostatniej wadzie wystąpiła z podziwienia godną energią kolebka naszego narodu Wielkopolska. W Poznaniu zawiązało się towarzystwo przeciwkarcjarskie, na którego czele stanął zasłużony patriota p. Jackowski a jeden z najpoważniejszych dzienników w Wielkopolsce „Dziennik poznański“ umieścił cały szereg artykułów w tej sprawie. Oby te usiłowania, podniesione w najbardziej od wroga zagrożonej dzielnicy rozszerzone przez ludzi dobrej woli, objęły całą Polską! Oby w tej wspólnej pracy nad naprawą obyczajów połączyły się zuowu — mimo kordonów — wszystkich nas serca i dłonie.

W jednym z artykułów zwraca się „Dziennik poznański“ wprost do młodzieży polskiej z wezwaniem do pracy nad sobą w kierunku wypłenienia zgubnego nałogu karcjarstwa, bo tu reforma najpotrzebniejsza i najłatwiejsza jeszcze.

Dlatego też wyżej wymieniony dziennik powiada: „Jeżeli społeczeństwo obiecuje sobie korzyść rzeczywistą z „naprawy obyczajów, powinno przez główne dźwignie moralnego wpływu podnieść młodzież naszą“ a dalej „doprawdy trudno uwierzyć, gdy się słyszy, że młodzież nasza nie tylko godziny, ale dni całe potrafi przepędzać przy zielonym stoliku i ogrywać się nawzajem z fundusików dostarczonych przez rodziców, opiekunów a nawet dobroczynne instytucje. Jakież to rozumy, jakież uczucia wykształcić się mogą w takiej atmosferze nicości, marnoty, a chciwości“. Osądźcie sami czy tak nie jest częstokroć. Lecz nie tylko uznać zło, lecz usunąć je powinniśmy, a *przy-  
stąpić do dzieła należy z silną wolą i pracować rozumnie.*

„Młodzież nie zawsze słucha chętnie rad starszych, choć te rady opierają się na doświadczeniu, ale wśród tej młodzieży są lepsze i rozważniejsze żywioły, które powinny ująć sprawę tę w swoje ręce“. Myślę, że tych lepszych żywiołów zachęcać,

im okropne nie dla nas tylko, lecz dla naszej sprawy skutki namiętności karciarstwa wskazywać nie potrzeba.

„Szalona strata czasu — rozpróżniaczenie się, chciwość grosza przy tak łatwym, chociaż ryzykownym sposobie zdobycia go — obniżenie poziomu intelektualnego u ludzi, którzy tracąc połowę dnia na karty, nie mają ani chwili na poważniejszą lekturę, a tracąc setki i tysiączki w grze, nie mogą wydawać dziesiątek na książki — to są następstwa nieuniknione tej dzikiej manii“ (Słowo Polskie).

Najzgubniejszą zaś cechą karciarstwa, jak w ogóle każdej namiętności jest ta wyłączność, z jaką opanowuje nasz umysł i czyni go do innej pracy nie zdolnym, z jaką skrzywia charakter nawet szlachetnych z natury jedncstek i prowadzi częstokroć do zbrodni. A zauważyć należy, że karciarstwo i wogóle zamiłowanie hazardu stało się już w Polsce wadą publiczną. Nikt się z nią nie kryje. Gry hasardowne prowadzą się przed kawiarniami, na ulicy prawie a opinia publiczna milczy.

Nie! dziś już nie milczy więcej, obudził ją głos z Poznania, obudziły bolesne upokarzające wypadki galicyjskie z ostatnich czasów, których przyczyn szukać trzeba w znacznej części przy zielonym stoliku w Wiedniu, Krakowie, czy też w barokowym pałacu koło polskiego sejmu we Lwowie.

Czas już wielki, czas, aby ten szął, w którym ludzie zapominają o najświętszych zasadach i obowiązkach, minął. Nie wyleczyły nas słowa Bismarka, wysyłające posłów polskich z sztyderstwem z parlamentu niemieckiego do Monaco, uleczą może klęski. Jakkolwiekby zachowa się wobec wezwania z nad Warty reszta społeczeństwa, ta lepsza część młodzieży do której patryotycznego uczucia zwraca się „Dziennik poznański“, a z nim bracia z pod pruskiego zaboru, ta nie może zawieść pokładanych w niej nadziei narodu — ona wystąpi do walki z niszczącą nas chorobą, pamiętając, że „Tylko praca w połączeniu z naprawą obyczajów, zbawić nas może rzeczywiście“. A gdy się usiłowania w jednym kierunku powiodą, wtedy z rzuńszem sercem weźmiemy się do dalszej walki. Dlatego też, zanim postawimy pierwszy krok w usiłowaniach o naprawę obyczajów, w obronie marniejących sił narodu, musimy, aby nas zawód nie spotkał i klęska, rozważyć bacznie przyczyny złego i według nich zastosować środki zaradcze.

A. P.

(Dokończenie nastąpi).

## „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“.

Sprawdza się dziś święcie ta znana konkluzya bajki Krasickiego na naszej młodzieży gimnazyalnej. Mieliśmy ową sławną ankietę szkolną, słyszeliśmy głos p. Popiela w tej sprawie, a w ostatecznych czasach odbyła się konferencya dyrektorów, którzy jeden z punktów swych rozpraw, reformie metody nauczania poświęcili. Nieszczęsna sprawa reformy tłuźce się od kilku lat, jak dusza pokutująca, po wszystkich dziennikach i pismach fachowych, dysputują nad nią w sejmie, dysputują w kołach prywatnych i na ławie szkolnej. Przyznać trzeba, że ogół pragnie reformy gorąco, żywo bierze ją sobie do serca; niestety! sromotnie się zawodzi.

Stary Homer parska na te szopki homerycznym śmiechem, drwi z pogrózek (palcem w bucie), spędzając od niechcienia, klasyczną dłonią, reformatorską muchę z nosa. Jak przed wiekami, tak i dziś mruży monotennie: *Μῆνυκεθε θεά!* Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły... Przyjaciele są, a jakże! Radzą, sejmikują nad bezpieczeństwem zająca. Co z psami zrobić? Jedni polecają radykalny środek: psy pałką w łeb, a za skórki kupić gramatykę francuską lub gimnastykę obowiązkową. Inni wypraszają, choć jednego charta od śmierci. Są wreszcie tacy miłośnicy klasycznej nagonki, że radzą tylko wziąć psy na smycz krótszą; a że tam czasem skubną biednego szaraka po skokach, to nic złego; niech się nie rozpuszcza! — A tymczasem psy jak gryzły, tak gryzą — Horacy, na niewzruszonych koturnach wiekowej sławy, układa najnowszą satyrę na ankietę i woła, jak przed wiekami: „Risum teneatis!“

O ile mi się zdaje, to w obecnym zastoju ciężkiej machiny reformatorskiej szkół średnich, gdy zło ciśnie, a naprzód iść trzeba, jedyną ulgę w nauce języków klasycznych, może przynieść radykalna zmiana ich metody nauczania. Łacina i greka stoją niezachwiane, owszem dominują. A więc, gdy się im wymknąć nie można, starajmy się przynajmniej ułatwić sobie znoszenie tego ciężaru, by to brzemie stało się lżejsze, a jarzmo klasyczne słodsze, niż dotychczas. Weźmy np. pod uwagę metodę nauczania języka niemieckiego w szkołach średnich, choć ona bardzo wiele do życzenia pozostawia. Przecież, uczeń, choćby bardzo wątpliwych zdolności, przetłumaczy po 5. latach nauki, przeczytany ustęp z historii lub poezji niemieckiej, bez ustawicznej pomocy słownika i gramatyki, a od biedy i opowie-

dzieć w danym języku potrafi. Ten sam uczeń, ba! nawet zdolniejszy, zaliczony do „lepszych“ w klasie, czy uwinie się tak prędko z podobnem tłumaczeniem Homera lub Liviusza? Fakta inaczej niestety mówią! Nad dwudziestoma wierszami boskiej poezji lub prozy przesiedzi całą godzinę, przewertuje słownik i gramatykę namęczy się, napoci i... ostatecznie wraca do lichego tłumaczenia, które przed godziną ze świętem oburzeniem na brak samodzielności, odrzucił. Tak nas uczy własne doświadczenie. Tak postępują  $\frac{4}{5}$ , gimnazyalnej młodzieży. Zarzuci mi ktoś, że łacina i greka to języki martwe, że do nich podobna metoda nauczania, jak w języku niemieckim zastosować się nie da, bo nie biegłość w rozmowie, lecz wnuknięcie w ducha starożytnych, przejęcie się ich ideałami itp. ich celem. W takim razie czytajmy płody tych pionierów ducha w dobrem tłumaczeniu, a jeżeli ono oryginału nie zastąpi, więc uczmy się na-przód racjonalniej tego języka, w którym te arcydzieła czytać mamy. Słownik i gramatyka powinny poprzedzić, a nie towarzyszyć lekturze, bo w przeciwnym razie, będzie ona mozolnem, mechanicznem składaniem wyrazu z wyrazem, myśli z myślą, a nie odczuciem piękna. Będzie to gramatyczna łamigłówka, a nie swobodne odczucie i zrozumienie treści. Ciekawym jakie pojęcie mielibyśmy naprzykład o Szillerze, gdyby nam przyszło dopiero ze słownikiem i gramatyką, po 30 wierszy na godzinę studyować jego dzieła. Czy może łacina o tyle trudniejsza od języka niemieckiego? Gdyby i tak było, musiałaby być, sądząc po skutkach, pięćdziesiąt razy trudniejszą! Czy może nauce języków klasycznych mało czasu się poświęca? W pierwszej klasie 8 godzin tygodniowo zabiera łacina. A przegładnijmy np. wypisy łacińskie z 3. lub 4. klasy, które mają niby tę biegłość w języku wyrobić. Spotykamy wyrwane zdania z najtrudniejszych autorów, o których później nic się nawet nie słyszy. Albo ten sławny słowniczek łaciński dla pierwszej klasy, gdzie idyotyczny układ bynajmniej do ułatwienia nauki się nie przy-czywia. To mechaniczne bębnienie 2. lub 3. kolumn słówek z preparacyi, coraz nowych a więcej nie spotykanych, czyż nie może zuiechęcić młodego umysłu do reszty, zwłaszcza gdy się jest przekonanym, że się to wszystko nie na wiele przyda, gdy młody chłopak słyszy to samo z ust profesorów, innych przed-miotów, z ust kolegów, krewnych i rodziców.

Jeżeli starożytni tak nam już zaleźli za skórę, że się ich pozbyć nie łatwo, jeżeli dziki przesąd, uświęcony jak żaden,

inny, zaślepioną tradycją, długo jeszcze będzie więził swobodniejszy polot ducha, a głowy, powołanej do szczytniejszych, bardziej żywotnych celów, młodzieży, skuwał w helleńskie szyzaki, to starajmy się niech one nam przynajmniej nie ugniatają mózgu, niech nie łamią i tak już nagiętego karku. Minęły wprawdzie czasy, gdy Batory mawiał: „Disce puer latine, faciam te Mociumpanie“, gdy może według dzisiejszych pedagogów nie dość silnie odczuwano ducha starożytności; a mimo to mógłby niejeden młokos podgolony, który przeciążenia w szkole nie odczuwał, a o wynalazku p. Błazka nigdy nie słyszał, tłumaczyć dzisiejszym mundurowanym adeptom klasycyzmu przyjaciela Marona... bez preparacyi.

*Prz. M.*



### Lubię ten szzał.

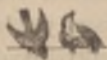
Lubię ten szzał, co zmysły rwie,  
Co dusze dwie  
Rzuca w objęcia;  
Tę orgię ducha,  
Co w skrach wybucha  
— Lubię ten szzał wniebowzięcia.

Lubię ten lot za światów kres;  
Niepamięć łez  
I przyszłych kaźni;  
Ten czar złudzenia,  
Co życie zmienia  
W wyśniony kraj wyobraźni.

I lubię tych, co iść na zgon  
Bez drzenia łon  
Bez łez są zdolni,  
Co patrzą z hardą  
Na świat pogardą,  
Co giną dumui i wolui.

Kraków.

*Ed. Leszczyński.*



## Sen i marzenia senne.

Życie osobnika, otoczone szeregiem zjawisk odbywających się na przedmiotach świata zewnętrznego rozpada się na dwa stany: jawu i snu. Pierwszy dostarcza mu środków do zaspokojenia potrzeb osobistych i ogółu lecz wymaga wyęczenia, które organizm zużywa, pewnej sumy pracy. Mająca miejsce podczas niej żywa wymiana materji i bezustanna działalność nerwów zmusza organizm do odpoczynku, którego mu dostarcza sen. Stan ten daje mu sposobność do zebrania nowych sił, pozwala nerwom, których wrażliwość wskutek ciągłego działania bardzo osłabła wrócić do równowagi. Lecz nie tylko tę fizjologiczną stronę snu winniśmy mieć na względzie, ma on bowiem dla nas jeszcze inną wartość, jest bowiem niejako drugim życiem, w którym zapominamy o troskach dnia, by się oddać marzeniom nie skrepowanym nawet granicami fizycznej możliwości. W śnie bujamy w powietrzu, przebywamy dalekie kraje, rozmawiamy z osobami ukochanymi, znosimy się nawet z tymi, których dawno straciliśmy. W śnie widzi wygnaniec ojczyznę, żebrak opływa w dostatki, niewolnik przewdziewa płaszcz królewski. A choć wszystko to złudza, choć znika na jawie, jednak daje nam często ukojenie w boleści, daje chwilkę szczęścia, o którym mówi poeta, że tylko we śnie istnieje dla człowieka tak samo jak prawda tylko w pieśni.

„Tyle prawdy co jest w pieśni,  
Tyle szczęścia, co człek prześni.“

Przyczyną tego dziwnego stanu są nasze wyobrażenia. Tkwiąc w naszej duszy, zyskane ze spostrzeżeń dokonywanych na poszczególnych zjawiskach świata zewnętrznego, towarzyszą każdej myśli, każdemu świadomie dokonywanemu czynowi. Podczas czuwania, związane ściśle z naszym działaniem nie mogą się samowolnie zaprodukować. Umysł narzuca im pewne granice, do których się stosować muszą. Życie bowiem całe wymaga takiego skupienia myśli i czynów, że wyobrażenia mają ciągle prawie wytknięty kierunek, muszą się niejako grupować wzdłuż sznura, jaki otacza każdy cel osobnika i ogółu. Lecz stosunek człowieka do świata nietylko krępuje swobodę reprodukcji wyobrażeń, doprowadza on także do tego że one tracą swą jasność i dokładność, zacierają je bowiem wyobrażenia inne tworzące się, lub podniety świata zewnętrznego.

Przypatrzmy się teraz jak się zachowują wyobrażenia podczas snu. Stan ten dostarcza wrażeń mało, już bowiem noc podczas której sen ma zwykle miejsce odznacza się w naturalnych warunkach spokojem w sprawie całej naturze, sprzyjającym swobodnemu ruchowi wyobrażeń. Wtedy reprodukują się one dowolnie, bez porządku bez ściśle oznaczonego planu. By się jednak wyobrażenie reprodukować mogło trzeba na to podniety. Podczas jawu mamy ich wiele. Podniety te reprodukują wyobrażenia z nimi związane i tak: bicie godziny, wywoła w nas wyobrażenie zegara, turkot wyobrażenie wozu i t. d. Wyobrażenia te rzadko stoją oddzielanie lecz związane w pewną całość, w pewien system, który nazywamy grupą assocyacyjną. Wyobrażenia danej grupy mają tę własność że wystąpienie jednego powoduje wystąpienie innych i tak n. p. wyobrażenie zegara pociągnie niejako za sobą wyobrażenie wieży, na której zegar spoczywa i t. d. Jednak to następstwo kolejnych wyobrażeń skończy się rychło, bo reprodukować się będą te wyobrażenia tylko, które w tym samym czasie lub miejscu dostały się do naszej świadomości. Tak się ma rzecz na jawie. W śnie bowiem odbywa się reprodukcya wyobrażeń zupełnie samorzutnie. Nieraz wyobrażenie jakies zaczepia o inną grupę, i bez względu na brak łączności między obu grupami reprodukuje w dalszym ciągu wyobrażenia nowej. Tak powstają owe fantastyczne marzenia, tworzące nieraz zupełną utopię. Przy sądzeniu jednak takich marzeń sennych trzeba uważać na jedno, mianowicie na to, że choć całość nie ma pozornie żadnego odpowiadającego jej zjawiska w świecie zewnętrznym, nosi na sobie każde wyobrażenie z osobną cechą prawdy, jest bowiem zyskane na jawie przy pełnej świadomości z rzeczywistych przedmiotów. Brak łączności marzeń ze światem zewnętrznym jest jedynie wynikiem nieodpowiednich stanów, zachodzących między pojedynczemi wyobrażeniami.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że reprodukcya wyobrażeń potrzebuje zawsze jakiejś podniety. Stanowi ją zwykle zjawisko świata zewnętrznego, na jawie jak i we śnie. Jednak zachodzi między wielkościami potrzebnych do wywołania wyobrażeń podniety odmienny stosunek. Najmniejszy szmer, błysk, któryby na jawie nie wywarł na nas żadnego wrażenia, ze względu na swe małe natężenie jest w stanie podczas snu być powodem długiej reprodukcji wyobrażeń, długiego marzenia. Podnieta nie dochodzi jednak podczas snu do naszej świadomości jako taka, któraby wskazywała na swą treść, dochodzą nas jedynie wyobrażenia



przez nie reprodukowane, przychodzące do naszej świadomości.

Kiedy jednak podnieta, jako, taka dojdzie do naszej świadomości, podczas snu, wówczas sen ustaje i następuje przebudzenie. Ma to miejsce przy podnietach o bardzo wielkiem namiętności. Punkt ten stanowi główną różnicę, między snem a jawem. W śnie jest świadomość nasza zamknięta dla podniet, lecz otwartą dla wyobrażeń, na jawie jest ona na jedno i drugie narażoną.

S. P. J.

## O zbieraniu marek pocztowych\*).

### I.

We wszystkich już prawie cywilizowanych krajach, a nawet i w krajach takich, o których cywilizacyi wieleby jeszcze można mówić, zostały już zaprowadzone marki pocztowe i wielkiem cieszą się powodzeniem. I słusznie — gdyż w rzeczywistości oddają one dzisiaj tak wielkie usługi, że coraz szersze znajdują zastosowanie i coraz obszerniejszy obejmują zakres działania.

Na pytanie, kiedy marki pocztowe zostały po raz pierwszy wprowadzone oraz jakiemu państwu i któremu mężowi należy je zawdzięczać, odpowiada się zazwyczaj wymienieniem r. 1840 i wskazywaniem na państwo angielskie i na nazwisko Sir Rowlanda Hilla. — Odpowiedź ta jednak nie w zupełności zgadza się z prawdą, gdyż w rzeczywistości jeszcze przed r. 1840 — a nawet znacznie przedtem — bo już w wieku XVII kwestya marek pocztowych omawianą i częściowo, choć tylko chwilowo urzeczywistnioną była we Francyi. — Sir Rowland Hill zaś wielce wprawdzie się zasłużył około wprowadzenia marek pocztowych, ale za ich wynalazcę uważanym być nie może już

---

\*) Wiedząc, że wśród młodzieży gimnazyalnej bardzo rozpowszenione jest zbieranie marek pocztowych, postanowiliśmy w piśmie naszym poświęcić słów kilka tej sprawie i w tym celu zwróciliśmy się do Zarządu — istniejącego w łonie Czytelni akademickiej — „Kółka Zbieraczy“ z prośbą o odpowiedni artykuł. — W odpowiedzi otrzymaliśmy od Zarządu Kółka nie tylko przyrzeczenie przesłania nam odpowiednich referatów, ale ponadto oświadczenie, że członkowie Kółka z całą gotowością udzielać będą na żądanie naszych czytelników wszelkich informacji, odnoszących się do zbierania marek.

choćby z tego powodu, że nawet w samej Anglii poruszył kwestyę znaczków pocztowych -- na kilkanaście lat przed jego projektem dziennikarz *Ch. Knigh*t.

Niezaprzeczoną faktą jednak jest, że Anglia była pierwszym krajem, który uznając znaczenie marek pocztowych u siebie na stałe je zaprowadził i zainicjował tem samą akcyę obejmującą obecnie prawie cały świat cywilizowany.

Z najrozmaitszych powodów bądź to politycznych bądź też administracyjnych marki w poszczególnych państwach zmieniały i zmieniają się od czasu do czasu a ta różnorodność gatunków zwiększająca się obecnie ciągle — a ponadto fakt, że między tymi gatunkami znajdują się i takie, które z wielu względów bardzo są interesujące — dał powód do pomysłu, który z jednej strony przyjęty został bardzo przychylnie, z drugiej zaś strony z zaciętą spotkał się opozycyą.

A jakież to pomysły i w czyjej wylęgl się głowie?

Oto zaczęto szukać używanych marek i układać je po jednej z każdego gatunku w takim porządku, w jakim państwa poszczególne marki puszczały w obieg. — I w tym wypadku inicjatywa wyszła z Anglii a sport ten zrazu maleńki przeszedł do innych krajów i zaczął coraz większe przybierać rozmiary. Dziś rzeczy stoją tak, że używane marki pocztowe są przedmiotem szeroko rozgałęzionego handlu, że sportowi temu poświęcone są czasopisma i obszernie książki, że istnieją specjalne kluby zbieraczy marek z grecką filatelistami zwanych i że -- zdaje mi się — w Anglii istnieje nawet giełda marek pocztowych, na której notowane są stałe ceny wszelkich możliwych znaczków pocztowych i odpowiednie wahania kursów.

W miarę jak jedni do sportu tego się zapalają, u innych powstaje reakcja. Bo jakież jest cel takich zbiorów, skoro ilość puszczonej w obieg marek idzie już na grube tysiące i skoro zwyczajny śmiertelnik już choćby ze względu na olbrzymie ceny niektórych rzadkości o skompletowaniu swego zbioru nie może nawet marzyć. I zarzut ten tembardziej staje się uzasadnionym, im większą jest ilość nowych gatunków znaczków pocztowych i im bardziej rzadkiemi są marki stare — a jednak — filateliści kpią sobie z całej opozycyi i robią swoje, jak dawniej. Księgarnia Senfa w Lipsku rokrocznie wydaje wspaniałe swe cenniki, rokrocznie nowe powstają czasopisma, handle i towarzystwa filatelistyczne, i rokrocznie — sprzedaje się bardzo sporą ilość albumów na marki; to ostatnie w tym wypadku

może najcharakterystyczniejsze, bo świadczy o zaciąganiu się nowych szermierzy pod sztandar filatelii.

Prawda bowiem i w tym wypadku leży pośrodku. Mylnem jest zdanie przeciwników filatelii, że całe zbieranie marek jest dziecinną zabawką pozbawioną sensu a absorbującą niepotrzebnie czas i pieniądze, ale nie mniej mylnem jest twierdzenie, jakoby zbieranie takie wysoką miało wartość naukową. Prawda jak już wspomniałem leży pośrodku. Zdaje mi się, że rzeczywiście zbieranie marek w przeważnej części wypadków uważać należy jedynie za zabawę, ale zabawę pożyteczną, bo przyczyniającą się do nabywania względnie rozszerzania potrzebnych wiadomości. Pomijając już przyjemność, wynikającą z samego zbierania w ogóle a tembardziej wynikającą ze zbierania przedmiotów pięknych, gdyż niektórym markom nie można odmówić wartości artystycznej — pragnąłbym zwrócić uwagę na to, że przez zbieranie marek nabywa się — powiedziałbym — mimowoli, przypadkiem rozmaitych wiadomości z geografii, historii numizmatyki, heraldyki itd. wiadomości bez których wprawdzie żyć można bardzo długo i bardzo szczęśliwie, ale zawsze wiadomości pożytecznych i mogących bardzo się przydać.

Jeżeliby się kto zapytał, czy zbieranie marek uważamy za rzecz potrzebną do ogólnego wykształcenia, musielibyśmy naturalnie odpowiedzieć przecząco, doradzilibyśmy natomiast, ażeby filatelii poświęcili się ci, którzy chcą raz na tydzień, czy choćby na miesiąc poświęcić godzinę czasu jakiejś zabawie przyjemnej a kształcącej.

Z doświadczenia własnego wiem o tem, że ludzie którzy z pamięci podawali liczby mieszkańców rozmaitych miast austriackich zupełnie dokładnie według ostatnich spisów, którzy pełne usta mieli najrozmaitszych cyfr, odnoszących się do podatków, taryf, etc. etc. etc. nie wiedzieli, że istnieją obecnie w Austrii marki pocztowe po 1 ct. i po 20 ct. a znali tylko te marki, z którymi mieli bezpośrednio do czynienia. A przecież wiadomość — chociażby pobieżna — jakie marki istniały i istnieją w kraju, w którym się mieszka, nie powinna być ludziom wykształconym obojętną i powinna być raczej pożądaną nawet i tym, którzy zbieraniu marek odmawiają racji.

W następnym tedy artykule mamy zamiar podać szanownym czytelnikom przegląd marek austriackich od najstarszych t. j. od wydanych w r. 1850 aż do obecnych i zwrócić uwagę na charakterystyczne cechy każdego wydania.

*Jan Piepes-Poratyński.*

## Kronika.

**Wszystkim kolegom, którzy przystępują do egzaminu dojrzałości, składamy serdeczne życzenia szczęśliwego przejścia w życie akademickie.**

\* \* \*

### Fr. Ludwik Büchner.

...Umiał on w chwili stosownej zawiesić u wielkiego dzwonu to, o czem wielu już myślało... po cichu.

(Lange).

Świat naukowy poniósł w ostatnich czasach wielką stratę przez śmierć Fryderyka Ludwika Büchnera.

Dziś imię jego mniej znane, cieszyło się przed laty czterdziestu olbrzymim rozgłosem w całej Europie. Zmarły w Darmstacie sławny filozof i naturalista, urodził się tamże w r. 1824. W młodości studyował z zapałem medycynę i nauki przyrodnicze. W r. 54 został docentem na uniwersytecie w Tübindze. Były to czasy wszechwładnej hegemonii idealizmu heglowskiego w Niemczech. Cała szkoła zapalonych uczniów berlińskiego profesora komentowała, przerabiała system mistrza, idealizując jego poglądy często aż do absurdum. Duszną, mglista atmosfera wymarzonego heglizmu, rozpajała ekstatyczną poezją romantyczne głowy, oślepiała olśniewającym blaskiem każde oko patrzące trzeźwiej na świat. Büchner należał do tych pierwszych, którzy oka nie zmrużyli. Z wzniesionym sztandarem materjalizmu rzucił się w wir walki z idealizmem. — I... na razie zwyciężył. Pomnikowe jego dzieło: „Kraft und Stoff“, które doczekało się 16 wydań było śmiertelnym strzałem w obóz przeciwników. Nie trzeba jednak jego znaczenia przeceniać. Był on raczej dzielnym popularyzatorem i śmiałym chorążym niż samodzielny wodzem nowego kierunku. Vogt, Moleschot torowali mu drogę. Materję na plan pierwszy wysunął i zdawało się mu, że zmrok filozofii słońcem rozjaśnił. Nie spostrzegł, że ta tak jasna materyja była jeszcze mniej znaną bardziej transcendentną, niż duch, którego hegomonie zawzięcie zwalczał. Wśród naszego społeczeństwa znalazły poglądy Büchnera silny oddźwięk, zwłaszcza wśród młodzieży pozytywistycznej w Warszawie, po roku 63. Łudzono się, że filozofia materjalizmu wypelni skutecznie program narodowy po strasznem rozczarowaniu wypadków stycz-

niowych. Był czas, gdy sobie wyżej wspomnianą broszurę z rąk wrywano.

Oryginalniejsze ustępy krążyły nawet w odpisach. Pozytywizm szedł u nas ręką w rękę z Büchnerem . . . . .

Dziś, gdy od lat 20 racjonalny kierunek wziął stanowczo górę, gdy wiedza, pogłębianą studjami przyrodniczymi przyznała drogą sprawiedliwej konsekwencji, należne stanowisko pierwiastkowi duchowemu, może się wydawać jednostronny radykalizm Büchnera, zbyt paradoksalnym i naiwnym. Mimo to, jeżeli się nań bezstronnie zapatrywać będziemy, jeżeli zważymy czas i stanowisko, tego uczonego na przełomie 2 er, z których jedna wyczerpana i zmanierowana groziła stanowczym upadkiem, a druga pełna siły śmiało z nowym dogmatem szła ku światłu, musimy uznać w Büchnerze człowieka niepośledniej miary, któremu postęp i poryw wolnego ducha był hasłem i życia sztandarem.

*Prz. M.*

\* \* \*

## Wspomnienie pośmiertne.

W ostatnich czasach ponieśliśmy niepowetowaną stratę przez śmierć dwóch zasłużonych pedagogów, których zasługi i prawdziwie ojcowskie postępowanie będą niejednemu najmilszem wspomnieniem z lat młodocianych. Przed trzema tygodniami zmarł w Warszawie Jan Pankiewicz, dyrektor znanego prywatnego gimnazjum, doskonały pedagog, znany pracownik na niwie naukowej, człowiek nieposzlakowanej prawości charakteru. Wiadomo, jak trudno połączyć na stanowisku dyrektora gimnazjalnego w Królestwie obowiązki „ruskiego czynownika“ z poczuciem patriotycznej godności, a choćby tylko prostej, bezstronnej sprawiedliwości. Ś. p. Pankiewicz należał do tych nielicznych Polaków, którzy potrafili z zadziwiającym taktem i energią przebyć tę „Scyllę i Charybdę“ i nie rozbić się. — Rządy Apuchtina, osławionego krzewiciela oświaty bizantyńskiej, z pochodnią i nachajką w ręku, były ciężką próbą dla zacnego dyrektora. Przetrwał ją szczęśliwie z czystym sercem i sumieniem — ze złamanem zdrowiem. Dobroć serca i dziwna znajomość dusz młodzieńczych, tak rzadko dziś spotykana, zyskały mu powszechny szacunek uczniów i rodziców. Niejeden z dawnych wychowanków ma mu wiele do zawdzięczenia. Uwolnienie od wpisu, mundurek, książki — ojcowską radę.. A to wszystko cicho, bez rozgłosu. Wdzięczni

uczniowie zbierają obecnie datki na stypendyum Imienia: „Pankiewicza“. Myśl ładna — czyn obywatelski.

\*

\*

\*

I nasze szkolnictwo w Galicyi świeci świeżym, wielkim wyłomem od dni kilku. Jako były uczeń jasielskiego, gimnazyum znałem ś. p. Klemensa Sienkiewicza bardzo dobrze. Kochaliśmy go i szanowali wszyscy bez wyjątku. Ze czcią wspominają go ci, którzy wyszli dawno z pod jego ojcowskiej ręki, a jest ich nie mało. Bo i poznać go było można dobrze — tem więcej też cenić.

Nie należał on do tych sztywnych c. k. gromowładnych Jowiszów, których jedno spojrzenie dreszczem lęku przejmuje, którzy są dla przerażonych uczniów najdoskonalszym symbolem: strachu, nieubłaganej bezwzględności i władzy. Pamiętam, jak z początkiem każdego szkolnego roku, po pierwszej godzinie, gdy rozmarzeni miłemi wspomnieniami z wakacyi, podziwialiśmy nawzajem nowego gościa, w postaci złotego paska na kołnierzu, — w otwartych drzwiach klasy zjawiała się piękna, męska twarz rześkiego staruszka z serdecznemi słowy: „Jakże tam rabiata! Zdrowa? — „Zdrowa“ odpowiadaliśmy chórem, a zacny dyrektor wchodził między ławki, dowcipkował śmiało się, wypytywał — a znał każdego po imieniu. Ojcowska dobroć i pobłażliwość na wybryki młodzieńcze — sam byłem młodym, mawiał; troskliwość bezustanna o dobro wychowanków i dobór profesorów w każdej klasie, nieskazitelność zacnego charakteru i ta jasna, mimo udanego marsa, trwała pogoda na pięknej, otwartej twarzy podbiły mu serca wszystkich. Na pogrzebie całe miasto płakało. Zнали go wszyscy, kochali, jak ojca.

Od kilku lat wysłużył śp. dyrektor Sienkiewicz swą rządową służbę; mimo to spełniał swe obowiązki dalej bez przerwy, z gorącą miłością dla młodzieży, którą szlachetnem sercem ukochał. Każda pogłoska o ustąpieniu, spotykała się z głośnym, ogólnym protestem. I wytrwał chlubnie do końca, do 65-go roku życia na trudnem stanowisku.

Jak się starał o swe gimnazyum, najlepszym dowodem; piękna, obszerna kaplica gimnazyalna, której budowa jedynie z jego inicjatywy, za jego staraniem doszła do skutku. Jest ona wielkiem udogodnieniem dla młodzieży, prawdziwą ozdobą miasta, jest najtrwalszym pomnikiem dla zacnego twórcy.

M. M.

\*

\*

\*

Dnia 21 b. m. odbyło się XV. walne zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Z pomiędzy referatów, wyróżniały się

przedstawione przez dyr. Fr. Próchnickiego, prof. W. Grzegorzewicza i prof. Ant. Kurpiela. Pierwszy postawił wniosek, ażeby nauczyciele geografii, historii i nauk przyrodniczych, starali się dokładnie poznać swój kraj ojczysty; w tym celu ma wnieść Rada szkolna prośbę do rządu o subwencję; również, aby uczniowie klas wyższych pod kierunkiem profesorów, zwyż wymienionych przedmiotów, odbywali wycieczki naukowe po kraju, uczniowie ubożsi za zapomogą. Nie potrzebują rozwodzić się nad potrzebą tak pierwszych, jak i drugich. Dyr. Próchnicki musiał dokładnie na zgromadzeniu w swym referacie umotywować wnioski, lecz, ponieważ nie mamy dokładniejszego sprawozdania, powiem kilka słów o ile wnioski p. Próchnickiego są korzystne. Nauczyciel, który w czasie studyów uniwersyteckich poznał swój kraj pod względem geograficznym, pamiątkowym i przyrodniczym tylko z książek lub wykładów na równi z innymi krajami, nie będzie znał istotnej różnicy i będzie traktował je jednakowo. Uczniowie jego będą umieli wyliczać wilajety tureckie i departamenty francuskie, a nie będą wiedzieli w jakim powiecie żyją, bo tego w podręczniku nie znajdują. Nauczyciel będzie mówił o łańcuchach i systemach górskich, gdy oprócz naszego Wysokiego Zamku i góry Piaskowej nic więcej nie widział. To samo można powiedzieć o przyrodnikach, którzy flory i kopalin naszego kraju nie mogą poznać na brukach miejskich (bo faunę lepiej może poznać w muzeum im. Dzieduszyckich). Wielu nauczycieli nie może przedsięwziąć takich wycieczek z powodu braku środków, więc zupełnie na miejscu jest wzmianka o subwencji. Również uczniowie jak wielką odnieśli by korzyść z takich wycieczek! To co słyszą w szkole przybrałoby realne kontury, widząc szczegóły, mógłby potem uogólniać — wszak Platon z nauką o ideach już pogrzebany. Przypatrzwszy się górom, dolinom pokrytym rozmaitemi roślinami, dalej rzekom i lasom, nabrałby uczeń większego zamiłowania do geografii i nauk przyrodniczych, a poznawszy kraj w ten sposób, mocniejby go ukochał i następnie z większym pożytkiem dla niego by działał!

Prof. Grzegorzewicz żądał powiększenia liczby godzin języka ojczystego w klasie I. i II., jednak bez powiększenia ogólnej liczby godzin. Rzeczywiście szkoły traktują naukę języka ojczystego po macoszemu, ponieważ w trzech godzinach tygodniowo, które są rozdzielone na opowiadanie, memorowanie i gramatykę, nie można z korzyścią dla uczniów przedmiotu ukończyć i zawsze jeden z tych 3 działów cierpi kosztem drugiego. Żeby choć język polski, był tylko o połowę mniej kochany przez Radę szkolną, niż

łaciński, lecz niestety liczba godzin tych języków ma się jak 3:8 (lub więcej).

Jeszcze słuszniej wstawił się w tym samym względzie ks. dr. Pechnik za wyższem gimnazjum. Myślę, że przeczytanie o jedną lub dwie ody Horacego lub mowę Cicerona mniej, byłoby z mniejszą stratą, niż gdy uczeń nie pozna tworców swych własnych poetów i pisarzy. Jednak klasyczność nie daje jeszcze za wygrane, nie da jeszcze nic ze swych praw urwać. W jej obronie wystąpił dyr. Pelenz, albowiem duchy Greków i Rzymian mają bliżej do Stryja, niż do Lwowa.

Więcej jeszcze zdrowotny i żywotny charakter mają wnioski prof. Kurpiela, co do unormowania liczby uczniów w klasie do 40 i otwierania klas równorzędnych. Naturalnie, że najlepiejby to było i dla zdrowia młodzieży i dla nauczycieli, którzy po kilka na posady czekają.

Ustalenie renuneracji dla profesorów i ustanowienie egzaminu I. po ukończeniu II roku filozofii nie byłoby złe, bo zmuszałoby do bardziej sumiennej pracy i ułatwiłoby egzamin nauczycielski.

Inne uchwały są dla nas mniejszej wagi, to też ich nie będę rozważał. Prezesem został ponownie obrany dr. Ant. Kalina, a przyszły zjazd oznaczono w Krakowie.

W. O.

\* \* \*

Na relegowanych studentów złożyli w redakcyi Teki

St. Sądowski 1 zł., VI. klasa III gimnazjum we Lwowie 3 zł. 70 ct., „grono gimnazjalistów drohobyckich“ ze składki w rocznicę 108 konstytucyi 3 maja 1 zł. 20 ct.

Pieniądze składamy w Towarzystwie Bratniej Pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej, które zajęło się wydaniem list składkowych i przechowaniem zebranych funduszów.

\* \* \*

W nrze 7. w artykule „Gimnazjum polskie w Cieszynie“ prócz usterek w interpunkcyi, wkradły się wskutek pospiesznej korekty złośliwe omyłki drukarskie. Str. 194 w. 3 od g. *Porylak* zam. *Parylak*, w 14 od d. *requorum* zam. *regnorum* w. 6 od d. *wytlómaczono* zam. *wytlómaczyć*, str. 195 w. 18 od g. *jakiego mies.* zam. *jednego mies.*

